

**Wychodzi w każdą  
Sobotę.**

Cena prenumeracyjna  
w całej Austrii:  
rocznie 8 zhr.—półrocznie  
4 zhr.—kwartalnie 2 zhr.

w Niemczech:  
rocznie 5 tal.—półrocznie  
2 tal. 15 sgr. kwartalnie  
1 tal. 8 sgr.

we Francyi:  
rocznie 21 fr.—półrocznie  
11 fr.—kwartalnie 6 fr.

Numer pojedynczy 20 ct.  
- 07 Redakcja: Ulica  
wałowa Nr. 19.

# SWT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

**Treść:** O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi, przez *Wacława Gasztowta*. (C. d.) — Święto majowe, poemat z czasów pogaństwa Słowian łużyckich, przez *Romana Zmorzkiego*. (Dok.) — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez *Berliozę Sasa*. (C. d.) — Historyzofia J. W. Drapera, przez *Wojciecha Dzieduszyckiego*. (C. d.) — Meczennicy fantazyi, nowella z niemiec-kiego *Ludwika Foglara*. (Dok.) — Przegląd literacki. — Przegląd teatralny, przez *Bronisława Zawadzkiego*. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

## Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Maja b. r. rozpoczyna się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Lipca b. r. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świat wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi w Galicyi 2 złr. w. a.; w Niemczech 1 tal. 8 śgr.; we Francyi 6 fr.

[illegible]

|        |   |   |   |   |   |   |   |   |   |    |   |
|--------|---|---|---|---|---|---|---|---|---|----|---|
| roczna | " | " | 8 | " | " | 5 | " | " | " | 21 | " |
|--------|---|---|---|---|---|---|---|---|---|----|---|

Prenumerate należy przysłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcji Świtu: Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obszerną powieść *Michała Bałuckiego*: „**Miedzy niebem a ziemią**”;

niebem a ziemią"; najnowszą komedię Władysława hr. Koziembrodzkiego „W jesieni” i sławny dramat Michała Stenbocka “w przekładzie wierszem Władysława Betzy;

Beera: „Struensee,” w przekładzie wierszem Władysława Biega;  
poematy Herdera: „Cyd” i Ossyana: „Karton” w przekładzie Władysława hr. Tarnowskiego  
Michała Bakuckiego, Ernesta Bulawy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Włady

sława Ordoña i innych;

XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu," dr. Wł. Deisenberga: „O etnocentryzmie i przywilejach i cere-

moniach dyplomatycznych," Henryka Schmitta: „Duch i przyroda w dziejach," Alfreda Szczepańskiego: „Kościuszkę na tle najnowszych badań" i inne.

**Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań** Od redakcyi.  
Lwów dnia 17. Kwietnia 1872.

Polscy i we Francji.

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy)

...cznej literaturze i sztucznemu wychowaniu, mógłby

Niemniejszy wpływ a skuteczniejszy, wpływ ze tak  
nowiem dodatni, wywarł na poezję francuzka XIX  
powiedzieć i jego sztucznej religii, a wywiesił now  
szteńdar, na którym napisał śmiała reka: natur

Starał się więc zrehabilitować namiętność, którą zastąpił kolektywizm, starał się wynaleźć nowy ideał polityczny, na którym napisał smutną refleksję: „Wiek Voltaira współzawodnik J. J. Rousseau. Ten przyniósł ze sobą nowe żywioły: nienawidząc społeczeń-

przymosił ze sobą nowe żyłoty. Młodym ludziom, którzy nie mieli doświadczenia wojennego, wśród którego się wychował, wypowiedział wojnę. Wierzył, że jego instytutem politycznym, jego sztuką

jego zepsuciu, jego instytucjom politycznym, jego

Główne agencje: we  
Lwowie księgarnia K.  
Wilda, w Krakowie  
księgarnia J. Wilda, w  
Poznaniu księgarnia J. K.  
Żupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte  
do druku zwracają się w ra-  
zie zażądania.

Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleźć w „Świcie” wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcji egzemplarzy takowych

wychowanie idąc za wskazówkami natury, starał się nareszcie, opierać filozofię i religię samą na podstawie naturalnej, bo na jednym tylko sumieniu. Popelniał w tem ogromnem, olbrzymiem przedsięwzięciu niemało błędów, skrzywił naturę chcąc jej odszukać, wstrząsł religią chcąc ją podparć i w dziele o wychowaniu użył sam wyszukanych nazbyt sposobików chcąc tylko pomagać naturze; w polityce nareszcie rzucając podwaliny nowej ery — ery republikańskiej, otworzył jednak wrota niebezpiecznym a niesłusznym rewindykacyom stronnictwa socjalistycznego, niwelatorskiego, tak, że trudno bezstronnemu krytykowi powiedzieć czy więcej zasłużył się ludzkości, czy jej więcej zaszkodził. Ale pod względem czysto literackim dokonał najsukceszniejszej, najbawienniejszej reformy, bo skruszył wszystkie przestarzałe jarzma, dał stylowi więcej prawdy i ognia i nareszcie obudził w pisarzach francuskich zamiłowanie do natury, której przed nim nie znali, a ta miłość natury, jako też ta mizantropia jego chorobliwa będą najwybitniejszymi cechami nowej poezji romantycznej.

Tutaj się zatrzymujemy, bo inni pisarze XVIII wieku, chociaż przyczynili się do postępu nauki, jako to Buffon, Diderot, d' Alembert, żadnego jednak nie wywarli wpływu na poezję XIX wieku.

Temu pobieżnemu przeglądowi literatury francuskiej aż do końca XVIII wieku, przeciwstawimy teraz takież sam przegląd literatury polskiej, abyśmy mogli poznać o ile nowa literatura skorzystała tak w jednym jak i w drugim kraju ze skarbow własnej przeszłości, zanim powiemy jakie obce żywioły przyczyniły się jednocześnie na początku naszego stulecia do nagłego rozkwitu poezji romantycznej.

Srednie wieki, oprócz kronik łacińsko-polskich, żadnych pomników literackich nie zostawiły nam w spuściznie, jednakże wypadki historyczne z czasów piastowskich, oraz pieśni ludowe, które w naszym wieku gorliwie zebrano, a które stały się, jak mówi Mickiewicz, arka przymierza między przeszłością a przyszłością, pozwalają nam sądzić o usposobieniach narodu skłonnego do marzenia i do czynów bohaterskich, tkliwego w uczuciach i w swojej ojczyźnie rozmiłowanego, a porównując pieśni ludowe francuskie z polskimi, powieści ludowe polskie z francuskimi powieściami, można przekonać się, że różnice zachodzące między językiem polskim syntetycznym a francuskim analitycznym równie zachodzą będą między literaturą prozaiczną i poetyczną Polaków. W XV dopiero wieku literatura polska zaczyna używać własnego języka, ale pod wpływem starożytności zostająca, chociaż w XVI wieku z Rejem, Kochanowskim, Klonowiczem, Górnickimi umie połączyć swojski, narodowy żywioł z naśladowaniem form łacińskich lub greckich, chociaż w sielankach Szymonowicza, Zimorowicza i Gawńskiego każe pasterzom spiewać często narodowe przedmioty i walki z Tatarami i Turkami, chociaż daleko już wtenczas patryotyczniejsza jest od francuskiej, a pod wpływem swobodnych instytucji Jagiellonów nie bywa kępowaną przez dworską etykietę — jednak do XIX wieku nie idzie ona za popędem własnego tylko geniuszu, a nawet w XVII i XVIII wieku jest z małymi wyjątkami naśladowaniem poezji i literatury francuskiej, jest, jak powiada Mochnacki, tylko kopia kopii, bo w tych nieszczęśliwych wiekach brak poczucia samoistności narodowej zarówno zgubnie oddziaływała na literaturę jak na politykę. Tu i ówdzie tylko satyrycy i pisarze polityczni lub kaznodzieje dają się słyszeć z wymownymi a bezskutecznymi napomnieniami. Naród, obcymi wpływami wykołojony i zdemoralizowany, własnymi wadami

i nieogłednem przywiązaniem do nieograniczonych swobód ubezwładniony, cywilizacją materyjalną, handlem i przemysłem gardzący, a samem położeniem geograficznym wystawiony na wszystkie przedsięwzięcia zaborcze chciwych i silnie urządzonych sąsiadów, coraz bardziej zapomina o sobie; skład jego państwowy coraz bardziej ulega rozprężeniu, aż zamachy niegodne trzech sprzysiężonych dworów niszczyć zupełnie państwo, wskrzeszają tem samem i budzą z letargu uspiomy ale żyjący jeszcze naród, który na końcu XVIII stulecia i w początkach XIX odszukał nareszcie siebie samego, dzięki szczególnie poezji romantycznej. Ogarnawszy całą Europę, przybrała ona osobliwą, czysto-narodową, czysto-patryotyczną u nas cechę.

## II.

Co spowodowało na końcu XVIII stulecia te ogromną rewolucję, z której wyszła poezja romantyczna, a za nią cała literatura nowa, swobodniejsza, zarazem szersza i głębsza, a to w całej jednocześnie Europie? Bliższe roztrząsanie tej kwestyi nie wchodzi w obręb naszego przedmiotu. Nie zboczymy jednakże od prawdy jeżeli powiemy że dwa uczucia, pierwsze demokratyczne, któremu początek dały wielkie odkrycia naukowe i mechaniczne, postęp dobrobytu i oświaty, drugie zaś filozoficzne, wynikające z coraz częstszych stosunków między narodami europejskimi a zatem z zapłodnienia, że tak powiem, myśli jednego narodu myślami drugiego, a przez to okazujące potrzebę wyższej jakiejś syntezy, rozszerzenia sfery umysłowej, szukania ideału w dalszych strefach po za literaturą klasyczną i filozofią Descartes'a i Locka; te dwa uczucia, mówię, z których pierwsze objawiło się szczególnie w Francyi, a drugie w Niemczech otworzyły nowy widnokrąg umysłowi ludzkiemu. Rousseau jest najdobitniejszym wyrazem pierwszego, a Goethe, który jemu tyle zawdzięcza w swym Werterze, był najświetniejszym tłumaczem drugiego we Fauście.

Około tych dwóch nazwisk należy skupiać wszystkie inne; literatura angielska, przynajmniej poezja romantyczna w Anglii, temi dwoma uczuciami żyje. Czem jest Robert Burns, jeżeli nie energicznym, nieszczęśliwym apostołem demokracyi w Anglii, jeżeli nie uczniem genewskiego filozofa? A nie mówiąc o Wilhelmie Cowper, który sam o tem nie wiedząc styl poetyczny demokratyzuje, ani o pierwszych romantykach angielskich, którzy przeciw klasycznej formie zbuntowani, chcieli zastosować do użytku poezji zwyczajny język rozmowy, jaki jest używany w średniej i najniższej klasie, nie mówiąc o Walter Scocie i o Southey, z których pierwszy tworzy poezję historyczną, a drugi poezję filozoficzną na tej samej co inni zasadzie, czy lord Byron nie jest jednocześnie zbuntowanym przeciw społeczeństwu swego czasu demokratą z arystokratycznego pochodzenia, a zarazem zrozpaczoną, jak Faust, poszukiwaczem niedoścignionego piękna, niedoścignionej prawdy, po za światem klasyków, po za teoriami poprzednich filozofów, po za dogmatami wszystkich na świecie teologów?

W Niemczech począwszy od Lessinga i mistyczny Klopstock i czuły a genialny Schiller, a po nich Rückert i Heine podobnymże wpływom ulegli i za ich działaniem stworzyli poezję filozoficzną i historyczną, z której wysnuły się potem szkoła filozoficzna, panteistyczna i szkoła historyczna, krytyczna i erudycyjna; bo te nauki są dojrzałym owocem tegoż drzewa, którego bujnym kwieciem była naprzód poezja romantyczna. Obok tych dwóch głównych czynników, możnaby przytoczyć mnóstwo jeszcze innych; poprzestaniemy tutaj

na pobieżnem wykazaniu kilku tylko żywiołów składających nową atmosferę poetyczną XIX stulecia. A naprzód zamilowanie natury. Po raz pierwszy objawia się to uczucie w dziełach autora „Nowej Heloizy,” po nim uczeń jego i przyjaciel Bernardin de St. Pierre tak w cudnej powieści Paul et Virginie, jak w poetyczno-naukowych rozprawach o przyrodzie daje znać rodakom swoim o tem, że natura jest niewyczerpanem źródłem pociechy dla duszy zbolalej, a niemniej obfitem źródłem natchnienia dla wyobraźni poetycznej; Châteaubriand, rzucony także przez wypadki na dalekie brzegi, maluje przepyszne widoki dziewiczej przyrody nowego świata i powiększa to zamilowanie do zapożnanej piękności natury. Nareszcie burze polityczne, rewolucye, wojny, wszelkiego rodzaju nieszczęścia, które od r. 1792 do r. 1812 załwały krwia Europę całą, musiały skłonić czule dusze do zanurzenia się w tem uzdrawiającem źródle spokoju, do szukania odpoczynku na łonie wiecznie młodej matki natury; a panteistyczne dążenie filozofii niemieckiej, jak z jednej strony zasilalo siebie tem uczuciem, tak z drugiej nie mało się przyczyniło do większego jego spotęgowania: tak że nawet wierzący poeci Boga w naturze jednej wielbią i odszukują, a mimow-

nie, jak Lamartine, wpadają w nieokreślony jakiś poetyczny panteizm.

Okoliczności historyczne oprócz tego zamilowania do natury, inne jeszcze budziły w sercach ludzkich uczucie, inny wybuch miłości wywołały. Wówczas jak nigdy opanowało dusze przywiązanie do ojczyzny; wówczas patriotyzm stał się równie źródłem natchnienia. Równie gwałt popełniony na polskim narodzie przez trzy sprzyśnione dwory, jak niesłychane upokorzenie ludzkości niemieckiej stratomanej kopytami Napoleonowego rumaka, a później podobne upokorzenie francuzkiego narodu, zmuszonego przyjąć od najeźdźców narzuconą władzę, wydobły ze strząskanych serc boleścią krzyki rozpacz, wołania o zemstę, hymny napełnione miłością do nieszczęśliwej Ojczyzny. Gdzie natchnienie takie było najczystsze, najpotężniejsze i najplodniejsze? gdzie Ojczyzna uwieczniona została najidealniejszymi kwiatami i promieniami? dlaczego tak było? co z tego wynikło? na te i tym podobne pytania znajdzie czytelnik odpowiedź w dalszym ciągu tego studium. Po tem wstępnem badaniu początków i źródeł polskiej i francuzkiej poezji romantycznej, przystępujemy teraz do ścisłego ich porównania.

## ŚWIĘTO MAJOWE.

poemat

z czasów pogaństwa Słowian łużyckich

przez

ROMANA ZMORSKIEGO.

(Dokończenie.)

### URYWEK DRUGI.

Na niebie błysnął pierwszy dzień maju —  
Z śpiewem skowronka po serbskim kraju  
Gwar się radosny rozlega.  
Między górami, w oichem ustroniu,  
U Gromadnika, \*) na bujnym bloniu,  
Skrytymi ścieżki tłum ludu się zbiega.  
Z dala od oczu zaciętych wrogów,  
Ojców zwyczajem  
Cieszyć się majem  
Uczcić pamięć dawnych Bogów.  
Wśród smugi zielona,  
W wstęgi wystrojona,  
Wysmukła Meja się chwileje;  
Przy niej do okola,  
Młodzież się wesola  
W narodowe wiąże reje.  
Trójsłonne gęsi \*\*) śpiewają rzewnie,  
Pyzata kobza pomruka gniewnie;  
W okrag radosny  
Brzmi śpiew rozgłosny.  
Dyszący bujnym tchem wiosny:

„Zaspiewajcie! wyskoknijcie!  
„Weselecie się młodości!  
„Z czary życia rozkosz pijcie!  
„I zrywajcie kwiat miłości!  
„Bo gdy śniegi spadną,  
„Róże lic pobladną,  
„Daremma się smućcie,  
„Błogich dni nie wrócić!”

W tem na stromym boku góry  
Zaszeleściły galezie,

Z suchym chrzestem po opoce  
Potoczył się żwir popchnięty  
I z głębi ciemnej gestwiny,  
Z za gaju świerków zielonych —  
Nagle na wazkiej się ścieżce  
Postać ukazała wzniosła,  
Widmu białemu podobna,  
Od stóp do głów w białej szacie,  
Z szeroka, jak pancerz srebrny,  
Na pierś spadająca broda;  
Z zielonym wieniec na skroni,  
Z długim, białym, zakrzywionym  
Kosturem w lewem, z płonącą  
Smolną w prawem reku zagwiał.  
Radosna zgraja spojrzali  
Ku gorze — i jak rażone  
Gromem, naraz niertuchomie  
Stanęły koła szalone,  
W niesforne zmieszany jeku  
Huczna zaniemiała gęźba!  
Z zadziwieniem, z święta zgrozą,  
Z uśmiechem, z dech tłumiącym  
Oczekiwaniem, wlepili  
Wszyscy wzrok w postać znajomą.  
Takim niegdyś, za dni lepszych,  
Niedawno jeszcze minionych,  
Ze szczytu góry Biel-Boga  
Od wieszczego kamienia,  
Zstępował kapłan najwyższy  
Ku zgromadzonemu tłumie  
Ludowi, imieniem Bostwa  
Wojne zwiastować mu święta  
Leez dnia onego krwawego.  
Gdy siedm serbskich wojewodów  
Rozpacznie walczyć do końca  
Przeciw nawałowi wrogów  
Legło na gorze Lubinie  
Z dziewięcią tysięcy swoich, \*)

\*) Gromadnik (Hromadnik) nazwa góry, podług podania  
ztał pochodząca, że na niej zwykły się był lud zbierać  
okoliczny na obrady, lub na wyprawy wojenne wyruszyć  
mając.

\*\*) Dotąd jeszcze utrzymują się w użyciu trójsłonne skrzypce  
huślami zwane.

\*) Podanie o bitwie na gorze Lubinie, w której poledz  
miało siedmiu wodzów, czyli królów serbskich, dotąd  
utrzymuje się tu między ludem.

Wrog zwycięzki na bezbronna  
Rzucił się górę Biel-Boga.  
Ściał święte deby, kamienne  
Ołtarze strzaskali i zwałił,  
Spaliwszy na nich ostatnią  
Straszną ofiarę z kapłanów,  
Wieszczów, guslarzy i wszystkich  
Ojczystej wiary czcicieli,  
W pogromie chwili ujętych.  
Od poranku do wieczora  
Skwierczały na stosie ciała  
I rozlegały się jęki  
Konających męczenników.  
Zmieszane z wściekłym chichotem  
I z radosnym wyciem Niemców.  
Odtąd dziesięć lat ubiegło —  
Milezając pustka została.  
Głośno niegdyś czczona góra —  
I w całej Serbów krainie  
Nigdzie nie zajaśniała okiem  
Ojczystej wiary kapłana.  
Zkadże dziś zjawia się nagle  
W pośród radośnego świata  
Z płonącej wojny pochodnią?  
Czyż li to żywy? czy mara?...  
Nowe niedole i kleski,  
Czy zwrot dni lepszych wieszcząca?...

On zstąpił tymczasem z góry  
I kroki uroczystymi  
Zbliżał się zwolna ku tłumom.  
Już z niedaleka rozeznac  
Lica zwiędnięte starością,  
Ale rumiane krwią żywą,  
I żywym ogniem natchnienia  
Płonące siwych ócz dwoje.

Wzrok to i lica nie obce!  
Starców żrenice przymglone,  
Utkwione w nich, młodocianym  
Płonać poczynają blaskiem —  
Przygasła iskrę pamięci  
Cichym rozdmuchują szepem —  
Aż nareszcie przypomnienie  
Jasnym płomieniem wybuchnie:

— „Dalibór!... Tak, to on iscie!  
Przed lat dziesięć ostatni  
„Najwyższy kapłan Biel-Boga,  
Wieszcz jego — ludu wyrocznia.“  
Z ust do ust, chciwie chwytna,  
Wiesć-jaskółka w krag obiega  
Gwarem półgłosnym, aż naraz  
Radości grzmiący krzyk jeden  
Bije w niebiosy wysokie.  
I oto cała czerń mnoga,  
Jak stado ptactwa w popiochu  
W koło matki się cisnące  
Ciśnie się k' światemu starcu —  
Niewiasty i dzieci drobne,  
Starcy, mężowie, młodzieńce —  
Biją o ziemię kolanem,  
Całują ręce i szaty,  
Błogosławiąc głośno Boga.

„Chwała bądź Bogu dobru!  
Chwała wielkiemu Biel-Bogu!  
„Po latach mnogich sieroctwa  
Ze się nam znowu zlitował!  
„Wysłuchał biadania ludu,  
Wieszczą nam zsyła swojego!...“

„O, mów! przemów do nas, Ojcie!  
Powiedz, jakim bożym cudem,  
„Uszedłeś śmierci straszliwej  
W noc krwawą lubińskiej kleski?  
„Lub wracasz li do nas z białych  
Popiołów z martwych powstały,  
„Zakończyć nasze niedole —  
Powrócić nam czasy dawne  
„Swobody, siły i chwały?...

„O, mów! ozwij się k' nam, Ojcie!  
W ustach twoich wola Boga

„Rozkazuj, rządz nami, prowadź  
Droga Jego — dzieci twoje!...“

Starzec szeroko nad ludem  
Oba rozciągnął ramiona —  
(W lewem ręku kostur krzywy,  
W prawem miał żagiew płonąca)  
I jako na widok skrzydeł  
Jastrzebi, w górze rozpiętych,  
Milkła święgotliwe stada,  
Tłum nagle zaniemiał cisza.  
Wśród ciszy wznosił się głos wieszczą:  
„Łaska wielkiego Biel-Boga,  
Moc jego, światłość i chwała,  
„Dzisiaj i po wszystkie czasy,  
Bądź z tobą ludu ty wierny!  
„Sercem iż otwartem witasz  
W pośród siebie jego sługę,  
„W dniach ucisku iżeś wytrwał  
Przy czci jego — wrogom k' woli  
„Nie zaparłszy swego Boga!...“

„Zbożny, kto z nim żywot wiedzie!  
Błogosławiony, kto w jego  
„Sprawie poniesie śmierć krwawą!...  
Błogosławieni ci wszyscy  
Ojcowie i bracia nasi,  
Legli na górze Lubinie  
I w płomienistej męczarni  
Na świętej górze Biel-Boga!  
„Duchy ich jasne, jak brzaski  
Jutrzni, swobodnie wleciały  
„W gwieździstego wrota raję  
„Pieśnią sławioną witane,  
Na wieczne z ojcem gody...  
„Mnie — wyrocznia wola Boga  
Chwały ich dzielić nie dała!  
„W noc jedną straszną, jam siedział  
Samotny na szczycie skały,  
„Czekając gońca od naszych,  
Lub jakiego z nieba znaku  
„O końcu i losie boju.  
Napróżno! Północ mijała —  
„Z nikąd ni znaku, ni gońca!...  
Jam jeszcze czekał upornie,  
„Daleko w ciemności noce  
Stare wyteżając oczy,  
„Jak gdybym przebieć mógł niemi  
Góry, lasy i noc ciemną.“

„W tem poczułem na mem czole  
Niby wiew jakiś cudowny;  
„Szmer dziwny tajemnych głosów  
Nappełnił ucho — przed okiem  
„Niby zasłona błyszcząca  
Z mgły mlecznej drogi srebrzystej  
„Rozciągała się, kryjąc wszystko —  
I uczułem jak powieki  
„Niewidzialna mimo woli  
Do snu zwierzała siła.  
„Sen mnie ogarnął — sen wieszczę;  
I w śnie posłyszałem gromowy  
„Głos Boga, do mnie mówiący.“

„Słuchaj, co mówię do ciebie —  
Rzekł głos — i spełń coć rozkażę.  
„Wodzowie wasi i woje  
Legli na górze Lubinie  
„Wrogów przemocą i zdradą.  
Za chwilę Niemcy tu przyjdą,  
„Wytną poświęcone drzewa,  
Obalą moje ołtarze,  
„Wytepią moich czcicieli,  
Ty jeden żywy zostaniesz.  
„Pójdiesz gdzie cię duch powiedzie —  
W długą po świecie tułaczkę.  
„Aż kiedyś po latach wielu,  
Znow posłę cię między lud mój,  
„Wole zwiastować, moc moją,  
Wzywać na nowy bój święty.“

W tem zbudził mnie szezek oreża,  
Zgiełk, jęk, śmiechy, blask bijący.  
„Niemcy zalegali górę  
Trzaskali wieszczebne gałęzi.



pięciu. Czterech weszło do *venty*. Piąty został przy koniach.

Noc była ciemna. Usiadłem na odłamie opadłego gzymsu niedaleko głównego wnijścia *venty*. Gesty krzak róży zasłaniał mnie zupełnie. Po tylu przygodach dnia tego potrzebowałem samotności, skupienia się w sobie uczuciem i myślą. Ciało było znękané — lecz jakże więcej znękaną była dusza moja! Wszak jedna tylko, nie więcej jak jedna przebiegła doba od chwili ucieczki mojej z domu Dona Perez'a Vasconvallos. Żywo bolała rana serca i gruba żałoba cniło się jeszcze jestestwo moje. Carmen — matka — ojciec — rzewne i bolejące postacie świętymi spójnie ze mną złączone, a jednak opuszczone przezemnie ukazywały się kolejno przed oczyma duszy mojej, w coraz głębszą unosząc się dał przestrzeni, w coraz mglistsze sfery czasów, niknąc na koniec zupełnie w nieprzejrzanym mroku przeszłości, jakby mi chciały przepowiedzieć wieczne z sobą rozstanie, wieczne doczesne sieroctwo! Czemuż opierałem się porywom nagłym i nie do powrotu? Czemu wzbraniałem się uczynić czegom tak pragnął gorąco? Wszak obowiązek skazujący mnie na wieczne rozstanie z Carmen nie sprzeciwiał się bynajmniej połączeniu mojemu z rodzicami? Taż sama cnota, co chciała, żebym pozostał uczciwym człowiekiem, chciała także, żebym nie przestawał być dobrym synem. Żywo objawiały się te prawdy w uczuciu i myśli. Pojmowałem ich treść gruntowną, ich zbawienność i opatrnościowe znaczenie. A jednak nie one to, nie one odniosły nade mną zwycięstwo! Niepojęta siła jakaś kępowała najlepsze moje postanowienia, najchwalebniejsze zamiary. Prąd jakiś nieprzewyciężony zdawał się porywać mnie i unosić. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że tą siłą była moja własna słabość! Ze tym prądem nieprzewyciężonym był własny mój poryw ku czemuś nie dającym się nawet określić stanowczo, ując myślą w treść i formę!

Samotne dumanie moje przerwało nagle zbliżenie się kilku osób, które wyszły z *venty* półgłosem tocząc rozmowę. Mówiłem już państwu, że noc była ciemna i że kryjówkę moją gesty krzak róży osłaniał. Nikt zatem z rozmawiających nie mógł mnie dostrzedz.

— Czy oni będą tu nocować? — zapytał ktoś z gorączkowym pospiechem.

— Będą *sennor* — odpowiedział głos Lopez'a. — Przygotowałem dla nich pokoik na górze, w drzewianem przybudowaniu.

— Gdzie ono?

— Tam *sennor*, gdzie wisi latarnia nad wnijściem.

— Czy innych drzwi nie ma?

— Nie ma *sennor*.

— Jak się nazywasz?

— Lopez Aguaviva.

— Otóż mosanie Lopez Aguaviva uważaj dobrze, co tobie powiem. Jeżeli się ktokolwiek dowie o tem cośmy dopiero mówili, będzie to twoim wyrokiem śmierci. Jesteśmy przybocznymi dworzanami księcia Asturyi, prawego następcy tronu Hiszpanii, a osoba, które tu spotkał się jest największym jego wrogiem, a tem samym wrogiem kraju i narodu. Biada więc temu, kto by stanął na drodze naszego zamiaru! lub kto by nam do uskuteczenia onego nie dopomógł! Twój los od ciebie zależy. Słyszales?

— Uczynię *sennor* jak i co mi rozkażesz.

— Otóż wryj sobie w pamięć każde moje słowo — inaczej biada temu co w twej skórze chłodzi! Wracaj natychmiast do sali i pozostaw tam na usługi tych panów. Skoro się udadzą na spoczynek do swego pokoiku, zaczaj się pod ich drzwiami z tchem i kłanki i podsłuchuj baczenie każde ich słowo — rozumiesz? Każde ich słowo!

— Rozumiem *sennor*.

— A jak zasną, dasz nam znać. Będziemy czekać w sali. A teraz idź, dokąd rozkazałem.

Po odejściu Lopez'a dyalog rozdrobił się na cztery głosy naprzemian odzywające się.

— To on! Poznałem go, choć się skrywał w cieniu.

— Tak — to on! A tamci dwaj to Yzquierdo i Cevalos zaprzędani jemu nikczemnicy. Nie udało się im zmylić mego oka.

— *Debemos gracias a Dios* za ten bogaty połów! Trzy takie ryby w niewodzie szczęście nie lada!

— Dziwne zdarzenie i niespodziane! W Madrycie myślą, że zajęty sprawami państwa w Aranjuez. W Aranjuez myślą, że gra w Don-Žuana u nóg swojej huryski \*) w Buen-Retiro. A jegomość zwiąja się tymczasem po wielkich drogach gdyby Don-Kichot jaki. Radbym wiedzieć dokąd się puścił i poci?

— Nie trudno odgadnąć. Francuzi, \*\*) jak wiadomo, wstąpili do Hiszpanii jako sprzymierzeńcy księcia Asturyi przeciw partyi dworu i Godoya. Otóż nie ma wątpliwości, że ta jego tajemnia wycieczka ma na celu ciemną intrygę, za pomocą której spodziewa się przeciągnąć wzgląd cesarza Napoleona na swoją stronę ze szkodą księcia Asturyi. Niedarmo wziął z sobą przebiegłego kręciciela Yzquierda, który był jego agentem politycznym w Paryżu, z kąd niedawno powrócił.

— Rzeczywiście, musi być jakieś powiedzial. Tem gorliwiej należy nam wziąć się do dzieła. Ani on ani żaden z jego towarzyszy wyjechać ztąd nie powinni. Ta *venta* niech będzie szkopuła, o którą rozbijają się ich zamiary. Ale coż zrobimy z nimi?

— *Per Dios!* śmieszne pytanie! Czy nie myślisz czasem grać w filantropa? Zapomniałeś widzieć o swoim tolekańskim sztylcie. Mało twego? Uderzą nasze!

— Będą się bronić!

— Damy im zasnąć.

— *Caramba!* nie pomyślałem o tem. Tak! Niech zasną, żeby się nie obudzić! Niech się obudzą, żeby zasnąć na wieki!

— Śmierć im! Śmierć podłemu parweniuszowi, co z prostego żołtaka wzniósł się aż do pałacu królów ku hańbie tronu i zniewadze kraju! Patrzcie! jak się rozgospodarował w Hiszpanii! Co było szlachetniejszego odrzucił — co wyższego, zdeptał! Książęta San-Carlos i Infántado, margrabia Ayerbo, hrabia Orgas, czoło hiszpańskiej *grandezy* na wygnaniu. Ktokolwiek życzliwy księciu Asturyi (*ídolo de todos los buenos Españoles*) zginął już lub jeszcze zginie. Ponieważ zasiewał burzę, niechże burzę zbiera! Ponieważ zdeptał drugich, niechże sam będzie zdeptany, jako gad, jadłowity!

Śmierć jemu! śmierć!

— Śmierć! — powtórzyli wszyscy ze stłumioną wściekłością i weszli do wnętrza *venty*.

Byłem przerażony tą sceną tajemniczego spryszenia się na życie trzech ludzi, nieświadomych niebezpieczeństwa, a więc bezbronych jak dzieci. Myśl mającego się dokonać morderstwa w sposób taki nikczemny, bo nad sennymi, poruszyła mnie do dna wstętem, oburzeniem, litością i wywołała gorącą żądzę niesienia ratunku ofiarom gotującego się zamachu. Pojąłem z tego com słyszał, że główną spreżyną niecej akcyi był ów podły Lopez, judasz frymarczący sumieniem za pieniądze. Należało więc usunąć go czempredzej ze sceny, jakimby to nie było fortelem. Plan działania zabłysnął gdyby

\*) Panna Tundo, podniesiona do godności hrabiny Castelfiel.  
\*\*) Takie było powszechne mniemanie w Hiszpanii na początku 1808 r.

nagle natchnienie w umyśle moim. Wbiegłem do windy i zacząłem termosić gwałtownie Gil'a Galega co już ostatki swego upojenia wysypiał. Zerwał się stary *mata-dor*, przetrzął zaspane oczy, zamruczał coś pod nosem i znowu się zaczął moderować do horyzontalnej pozycji na ławie, w projekcie odnowienia przerwanej biesiady z Morfeuszem, gdy uprzedzając zwłokę ztąd powstać mogącą, krzyknąłem mu tak ostro do ucha zwykle hasło cyrkowych igrzysk: *al toro! al toro!* \*) że się wnet ocucił zupełnie, skoczył na nogi i poznawszy mnie zapytał uprzejmie, co miałem do rozkazania?

W jednej chwili wyprowadziłem go na podwórze. Opowiedziałem co słyszałem i wezwałem pomocy jego w celu niesienia ratunku Księciu Pokoju i jego towarzyszom.

\*) Do, byka! do byka!

Że — Chętnie *señnor*, uczynię to dla ciebie — rzekł Gil Galego — choć Bogiem a prawdą ten Książę Pokoju nie wart żeby się dobrzy ludzie nim interesowali.

— Niech go Bóg sędzi! — przerwałem — Dla nas on nie książę, nie grand hiszpański, nie minister wszechwładny, ale człowiek, bliźni, brat, zagrożony niebezpieczeństwem! Sam Bóg każe nieść jemu braterski ratunek. Chodźmy więc! chodźmy!

Ponieważ w sali nie było już ani księcia, ani jego towarzyszy, pojąłem, że odeszli na spoczynek i że następnie dostojny Lopez musiał być o tej porze na swoim szpiegowskim stanowisku.

Gil Galego był tego zdania, żeby nań napaść zniemacka, zakneblować mu gębę i związanego na głuche węzły rzucić do jamy co była niegdyś wnijsiem do podziemnej kryjówki od dawna zawalanej.

## Historyozofia J. W. Drapera.

(*History of the intellectual developement of Europe, by John William Draper.*

*M. D. L. L. D. in two volumes, London 1864*)

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Prawo w całym świecie panuje i nie ma zjawiska takiego, któreby prawu nie ulegało. Myślano długo, że jakiś tajemniczy żywotny dech włada organizmatami żyjącymi, ale odkryto, że zwierzę i człowiek to tylko maszyny, których ruchy dają się wytłumaczyć prawami chemii i mechaniki. Do dzisiaj ogół myśli, że człowiek w czynach swoich wolny, stanowi wyjątek z pod wszechwładztwa praw nieubłaganych, ale jeśli to prawdą, to tylko o tyle, o ile to dotyczy czynów ludzi pojedynczych. Ktoby spojrział na działanie ludzkości jako zbiorowej jednostki, tenby musiał przyznać, że podobna do organizmu tym samym prawom, co i organizmat ulega.

Wszystkim wiadomo, wszyseśmy z tem oswojeni, że jednostka się rodzi, wzrasta i starzeje, że wzrastowi i rozkładowi fizycznemu towarzyszą wzrost i rozkład moralny, a dola pojedynczych ludzi jest wiernym obrazem doli całych narodów i ludzkości.

Nieznane nam urodziny fizyczne człowieka, ale musiały być one podobne do urodzin narodu, które w ten sposób się odbywają, że pewna ilość ludzi powolnie się przyzwyczajają do wpływów danego klimatu, przybierając odpowiednią temuż fizyczność. Jaką zaś jest śmierć ludzkości, tego już nam Draper nie mówi i tylko wskazuje co do narodów na ten fakt, że nowi przybysze wypierają dawnych mieszkańców z ich sadyb, że przeistaczają typ ich i zatracają ich język. Tęby się jednak chyba naówczas dało zastosować do śmierci ludzkości, gdybyśmy myśleli, że przybędą jacyś goście z innego planety i że naszą ziemię podbiją obywatele Marsa lub Jowisza.

Ale umysłowa młodość i starość rodzaju ludzkiego stanowi właściwy przedmiot badań Amerykanina. Jawi się ona tem, podług niego, że coraz nowe pojęcia i wyobrażenia owładają społeczeństwem, że coraz odmienne namiętności pobudzają ludy do czynów. Ludzkość to organizmat, złożony z tysiąca części, a organizmat osobno, każda jego część osobno się rozwija. Ludzkość chowa w swoim łonie starsze i młodsze narody, stany i jednostki, tak jak ciało posiada dawniejsze i nowsze części składowe

chemiczne. Sami jesteśmy we wieku męztwa, ale wszystkie wieki trwają współcześnie na ziemi i ztąd to możemy wiedzieć z doświadczenia, jak wygląda zgrzybiałość narodu.

Już bardzo dawno Indye i Egipt odbyły cały bieg żywota i przeżywszy wiek męzki skonały. W czasie, w którym Europa była pogrążoną w najgłębszej ciemności, kwitły nauki i sztuki nad Gangesem i Nilem, a ludzkość europejska dopiero zaczęła się wychylać z powicia, w chwili gdy mędrzy podróżnicy wypowiadali ostatnie słowo swej wiedzy: Panteizm. Nie wiemy dokładnie o tem jak wysoko się wzniosła myśl kapłańskiego Egiptu, podziwiamy loikę i głębokość Bramanizmu, ale w Budaizmie widzimy najwyższy wyskok ludzkiej myśli, przez Drapera w następujący tu sposób streszczony.

Podstawą Budaizmu: uznanie najwyższej potęgi a zaprzeczenie najwyższej istoty. Jeżeli Budaizm uznaje Boga, to nie uznaje Stwórcy. Stwierdza istnienie siły i samostnego plastycznego żywiołu, ale przeczy samostnemu, wiecznemu i osobistemu Bogu. Mówi, że możemy znać zjawiska ale nie możemy znać ich przyczyny, że świat zewnętrzny jest tylko fantasmatem wciąż się przeistaczającym, a że początkiem i końcem człowieka: nicieś. Oto nauka, której równej nie wydała dotąd Europa i oto wiara przez większą część ludzkości od trzech tysięcy lat wyznawana.

Badać rozwój narodów możemy dopiero w Europie i to najpierw w Grecji, która przed Europą przez te same stopnie rozwoju co Europa przechodziła. Najpierw pogrążona w stanie dziecięcym, każdej gadce wierząc, utworzyła bogaty panteon i fantastyczną wiedzę. Potem poruszona widokiem Egiptu poczęła odgadywać prawdę za pomocą chłopięcych domysłów i tak bezskutecznie umysł swój ćwiczyć doszła wreszcie do sofistyki co dawny gmach bajek obaliwszy, nie stałego natomiast postawić nie umiała. Ogół niepokoił się ruiną dawnych pojęć, ale Platon wiedział, że wrócić pod nowymi nazwiskami. Sokrates i Platon wraz ze Stoikami, Epikurejczykami i średnią

Akademii stanowią wieki młodzieńcy Grecyi, wieki wiary. Sokrates był to próżniak i niepoń, a Platon tracił czas na daremnych mrzonkach wyobrażając sobie, że przedmioty wszystkie podwójnie: w idei i w rzeczywistości istnieją i że ciała niebieskie — śpiewają.

Dopiero podboje Macedońskie rozwierając przed zadziwionemi oczyma Greków bogactwa Azji rozpoczęły wiek męstwa Heleńskiego. Aristoteles pierwszy zaczął trzeźwo gromadzić fakta, a za jego przykładem poszło świetne muzeum Aleksandryjskie, które przeżywszy mistrza potrafiło się ustrzedz wszelkich mrzonek metafizycznych, nie mogących gdzieindziej jak do zupełnego sceptycyzmu doprowadzić.

We wieku umysłowej starości popadła Grecya w neoplatonizm, teurgią i taumaturgią. Stwierdziła jednak przed skonem tę prawdę, że duch ludzkowszedzie do jednakowych dojść musi wyników, wypowiadając to samo co pierwaj wypowiedziały Egipt i Indye. Wygłosiła

bowiem panteizm twierdzący, że Bóg to nieosobiste i nieokreślone prawo świata a dusze, to istoty wychodzące z nieości i do niej wracające. W tej zgodności ostatecznych wyników, do których tak różnorodne doszły cywilizacye, leży najpierwsze świadectwo prawdy. Filozofia darmo usiłowała dociec prawdy i tu jak we wszystkim dopiero empiryczna, doświadczalna nauka może do niezbitych pewników doprowadzić. Oto owa masa komórek organicznych, które człowiekiem zwiemy, czyli raczej zbiór jednakowych jednostek ludzkością zwany musi ze siebie stopniowo różne wydawać pojęcia i różne przekonania, a przekonanie jawiące się podczas najwyższego rozwoju narodu i ludzkości jest prawdą. Pojedyncze organizmaty powstają, błędzą i nikną, organizmat zbiorowy także powstaje i niknie, ale tylko czas jakiś błędzi, a potem niechybnie do prawdy dociera.

(C. d. n.)

## MĘCZENNICZY FANTAZJI,

NOVELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Dokończenie.)

Cichy poranek zimowy białemi skrzydły otulał Wangeroge, spokojny powiew muskał fale morza mieniące się różnobarwnie, czasami przesuwiał wesoły statek i powiewał żaglami w cichej żegludze; pomiędzy mieliznami a skałami wyspy kołysały się lekkie rybackie łódzie.

„Szumią i szumią fale z falami  
I pokrywają skrzydeł puchami  
W głębi tajemnic śpiącą ton!...  
A potem fala kładząca, wirowa  
Plusnąwszy, aż na dno pod tonią się chowa —  
Spoczęła, zginęła! nie pytaj oń!...  
I nikt nie zbada z powierzchni sądzący  
Jakiemi drogami ten bałwan szumiący  
Wędruje, gdzie płynie, gdzie ginie...  
Gdzie cel samotnej a tęsknej żeglugi,  
Gdzie wypełnienie podróży tak długiej  
Nim falą w inne fale się rozplynie?...“

Z pomiędzy małych chat wзираł rybacki kościółek. Była niedziela. Głos organów i śpiew choralny rozlegały się nad brzegiem. Obok kościoła mały zakątek służył za cmentarz — dwaj wędrowcy weszli furtką cmentarną.

— Wszyscy są na mszy — rzekł Saint Clair — nie dopytamy teraz nikogo, chodź raczej do kościółka.

Fryderyk się zawahał. Ujął rękę przyjaciela. Chorał: *Eine feste Burg ist unser Gott!* rozbrzmiewał się potężnie w tych małych murach, mimowolnie pochylili głowy pod wpływem tej potęgi zawartej w pieśni religijnej. I przystąpili do wrót kościoła.

— Patrz tam! — rzekł Fryderyk, oglądając się raz jeszcze po za siebie i oko jego spoczęło na świeżutkim grobie, który dziwnie wзираł z pomiędzy innych śniegiem pokrytych i już nieczytelnych.

Trwożnie przystąpili bliżej, Saint Clair pierwszy dostrzegł napis — chciał wstrzymać przyjaciela, kiedy

Fryderyk rzucił się ku krzyżowi, odsłonił świeży jeszcze wieniec na nim zawisły i przeczytał:

„Zuzanna Gontard.“

Twarz jego dotknęła się mogiły — niemy, ostatni i pierwszy — złożył tam pocałunek.....

Umilkły organy, zwolna wychodzili ludzie z kościoła i stało się tak cicho, że słycać było uderzanie fal o wybrzeże. Wesoło przyświecał planeta ziemi po całunach śnieżnych i falach jaszczurczych... nad niemi unosiła się mewa, jak myśl wesoła młodości, ale wśród tej słonecznej rozkoszy, właśnie rozdarło się jedno ludzkie serce...

„Jedno miejsce i godzina

Łączy straty i zdobycze,

Gromów trzaski, słońce oblicze —

Wspólna ludziom, grób, dziedzina.“

Niewiele mógł Saint Clair dopytać od miejscowych. Gontard przybył na czas jeszcze, by być przy skonie ukochanej żony. Przybył w sam ostatni wieczór, kiedy mu się udało szczątki majątku uratować i kiedy myślał już o odbudowaniu go z gruzów. Zaraz potem opuścił wyspę wraz z Almą i Orbesem. Wprowadzono przyjaciół do komnaty kędy skoła Zuzanna, kędy świat doczesny zamieniła na tak ukochany świat ideałów. Zwiedła kwiaty jeszcze nie uprzątnione leżały na stole przy jakiejś otwartej książce... był to Hyperion Fryderyka i listek powoju oznaczał to miejsce.

„I myśmy się nie rozstali! Jesteśmy żywymi tonami, zestrzajamy się w tobie, naturo! Jak niezgoda kochających się, są dyssonanse świata: połączenie wśród rozterki — i wszystko co rozłączone złączy się na nowo!...“

Obok tego ustępu ledwie czytelne ołówkiem były nakreślone słowa:

„Swemu Hyperionowi Diotima.“

Wiosenna Wielkanoc ożywiła naturę, która cała zdała się z długiego snu przebudzona. Tłumami snuli się ludzie po ulicach Tübingi, grupy hoźych dziecięk igrały po gazonach. Wesołość panowała wszędzie, natura rozrzuciła majowe girlandy. I między spiewakami Szwabii panował ruch niezwykły. Mattison potrafił ułatwić wydanie poezji Fryderyka, które ogólnie zostały powitane wszechstronnem uwielbieniem. Dzielný Neuffer i serdeczny Schubart zostali wybrani, by pysznie oprawny egzemplarz ofiarować zgrzybiałej matuli poety. W ogródku przed niskim domkiem siedziała sędziwa staruszczeńka, smutna, zamysłona, używająca hojnie świecących słonecznych promieni, przypatrująca się z spokojnym uśmiechem starości snującym się ulicą różnobarwnym tłumom ludzi młodszych od niej, może przyszłości pełnych, myślała sobie...

Powitała znajomych z prostotą macierzyńskiego wzruszenia, a przycisnąwszy księgę do piersi, rzekła:

— Tak! to mój drogi marzyciel! tak brzmi tylko lutnia, której sam Pan Bóg stróny ponaciagał. A kiedyż ja go obaczę i przytulę!... To co najlepsze w życiu przecie nieme pozostaje, tak w pieśni jak w rzeczywistości!

Saint Clair się ukazał. Matrona podała mu rękę:

— Nie powinno cię było brakować w dzień urodzin duchowych mego Fryderyka. Ale tyś go widział ostatni, gdzież jest i co się z nim dzieje?...

— Zaczna pani... jestem posłanym... od tygodnia oczekuję Fryderyka... nie... — tu się odwrócił — ja jej prawdy powiedzieć nie potrafię...

Wszedł jakiś pan z panią. Byli to Orbes i Alma. Do nich zwróciła się pytając staruszka.

— Jutro! jutro! — odpowiedziano jej — otrzymamy nowe o nim wieści.

Pocieszali i rozrywali staruszkę, którą w kilku dniach nauczyli się wielbić jak rodzaj wyróchni. Były to głosy syna, które mówiły przez usta matki. Wola brata, potęga wdzięczności, (!) prawdziwa stałość Orbesa przewyciężyły wstępn Almy. Na krótko przed śmiercią Żużanny otrzymał ostatnie jej błogosławieństwo zawarta związku dożywnie. Do niej tedy rzekł Orbes:

— Próbnj, może ty będziesz mogła jej to powiedzieć...

— Co?...

— Niestety! prawdę! chodź ze mną...

Odjechali w stronę przeciwną miasta Tübingi i stanęli — przed szpitalem... Po przejściu długiego korytarza doszli do furty, na której był napis „Oddział dla obłąkanych.“ Alma ledwie odetchnąć mogła — straszne przeczucia dech jej zaparły, niemo szła naprzód jak posag woli. Przeszli obok mnóstwa komórek, z których dzikie i dziwne wołały głosy i rozlegał się chód wartownika. Promień słoneczny błdził wśród tych ciemnych zakątków. Alma nie mogła iść dalej. Orbes objawszy ją czule, rzekł:

— Nie mogę ci go oszczędzić, droga żono, tego chrztu boleści, dotknie on ciebie ognistym mieczem swoim i spadnie z twych oczu błędna przepaska ideału. Od robaka bóstwo w nas zawisło, a ci co o tem nie pomną stają się: „męczennikami fantazyi.“ Kończą jak nasza Greczynka „Korynna północy“ albo gdy Bogi groźniejsze, jak ten oplakiwany, nieszczęśliwy!...

Stali przed ciemną izdebką, przez wąską kratę widać było postać zdzieczalą, obłądną, wpatrzoną w jakiś obraz, wymawiającą niezrozumiałe wyrazy.

Po nad całą był napis:

„Fryderyk Hölderlin.“

Wielką i wspaniałą jest natura tam, gdzie przebywa w pełni swojej, wzniosła nawet w zburzeniu własnego dzieła, w zdumiewającym spokoju krocząca majestatycznie wśród stworzeń swoich. By się stała użyteczną, poddać się musi kształtom i prawom, które uśmierzają jej dzikość, siłę równoważą, drogę wskazują i gwałtowne tryby zestrzajają z całością stworzenia. Nie inaczej bywa z atomami wszech ducha, które ludźmi zwiemy, z których każdy dla siebie i w sobie powołanym się zdaje przedstawiać stworzenie, a jednak tylko we wspólności z czynnikami i prądem ogólnego rozwoju działać mogą skutecznie, to jest, by to co dobrego działają, w skutkach ich tu przeżyło. Na tej skale społecznej, w tem powołaniu do uszczęśliwiania drugich i siebie, z odwołaniem się wprost do niezmiennej prawdy, która „z głębi ducha ludzkiego jak Tytan z łona Etny grzmiący się odzywa“ na tej to opoce strzaskało się wiele serc najszlachetniejszych. Skały te z świadomością, umieć wyminąć zdaje się być zadaniem postępowego wieku — już świta!

Z takimi myślami nosząc się Orbes wyszedł z szpitalu, wywlekając z niego wpół martwą żonę. Lecz jakże się rachmistrz przerachował — od tego dnia czarny cień smutku nieodłącznie opanował Alnę, która wszystkie chwile wolne poświęciła matce Fryderyka. Sędziwa matka zniosła cios ten z poddaniem się woli bożej, które sięgało bohaterstwa.

Co dnia Saint Clair przynosił wieści o stanie cierpiącego, a promyk nadziei, jaki zabłysnął czasem z jego polepszeniem ożywił obydwie niewiasty.

Współczucie całego kraju zaszczytnie okazywało się stroskanej matce, zapytywania Goethego, listy Szyllera, dowody przyjaźni najznakomitszych tego czasu ludzi zapytujących o syna, byłyby mogły jej serce przepełnić dumą, gdyby nie było złamane — boleścią, która na resztę uczyniła je obojętnem. Cała skupiona w sobie liczyła zawsze na miłosierdzie boskie ratunek zsyłające.

Minęły lata, sztuka lekarska rozbiła się o chaos dziwnie zorganizowanego umysłu i psychologia nie wiele mogła tam zdziałać. Kiedy ujrzał Alnę rozplakał się i zawołał boleśnie:

— Diotima!

Rzadko rozmawiał z przyjaciółmi młodości, muzyka została mu najmiłą towarzyszką ale i w niej równie jak w późniejszych poezjach coraz trudniej dopatrzeć było związku, energicznej przewodniej myśli i ładu.

Wreszcie musiano ustąpić uporowi macierzyńskiemu, który miał święte prawa. Żądała raz jeszcze widzieć — syna! Pozwolono — liczono nawet na wpływ dobroczynny tego wrażenia. Niestety! chory zapadł od tej chwili w najgwałtowniejsze wybuchy, a matka — biedna matka! przypłaciła tę chwilę śmiercią! Alma ją pochowała.....

Gwiazda po gwieździe gasła na jej niebiosach, raz powiedziano jej, że Orbes i Gontard postanowili przenieść się do Ameryki i szukać „szczęścia“ pieniężnego po za oceanem. Rzuciła garstkę ziemi na wszystkie wspomnienia i poszła za nimi, posłuszna, milcząca jak zwykle, spokojna.

Wstąpili na ład nowego świata.

Po latach otrzymała z przyjaznej ręki świstek zapisany, przypominający żywcem pogrzebanego:

Proste drogi.

„Tego, kto ci duchem krewny

Umiłuj sercem bez końca,

Toruj ślad drogi niepewnej,

Co stromo wiedzie — do słońca!

Tysiące marnie cię miną  
Bez znaku na twe wezwanie,  
Lecz pierwsze wiatru powianie  
Ślad ich zawieje — i zginą!...  
A gdy ów jeden się zjawi

Rad dzielić z tobą pożycie,  
Niech mu twe serce zostawi  
Wszystko — czem bogate życie!...

Ernest Buława.

K O N I E C.

## Przegląd literacki

**Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego.** Napisał Jan Karłowicz. Poznań, nakładem Jana Konst. Żupańskiego, 8vo 1872.

Różne są zdania historyków o powrocie Bolesława Chrobrego z wyprawy kijowskiej r. 1018. Sołowiew i Roepell idąc za Nestorem twierdzą, że książę ruski Świętopełk kazał wymordować Polaków, a Bolesław uciekł z Kijowa, zabrawszy ze sobą siostrę Jarosława, mnóstwo jeńców i bogate łupy; w powrocie zdobył grody czerwieńskie oderwane od Polski przez Włodzimierza. Szajnocha pierwszy zwrócił uwagę na sprzeczność w powyższym twierdzeniu: Bolesław uciekając z Kijowa przed zemstą wzburzonego ludu, nie mógł zabrać ze sobą skarbów i siostry Jarosława, nie zdołałby uprowadzić znacznej liczby jeńców wojennych a nadto w powrocie zdobyć całej prowincyi. Sprzeczność ta odejmuje doniesieniu Nestora wszelką cechę prawdopodobieństwa, a wiadomość tę tem bardziej musimy uważać za mylną, ile że współczesny Thietmar, który chętnie doniósłby o klęsce Bolesława, wyraźnie powiada, że Bolesław „wesół powrócił do domu.“ Z tem wszystkim Szajnocha rzeczy tej zupełnie nie wyjaśnił, kombinując bowiem opowiadanie Galla z Thietmarem, każe Bolesławowi wracać po 10-miesięcznym pobycie w Kijowie, t. j. w Czerwcu 1019 r. i odnosi świadectwo biskupa merseburskiego, zmarłego 1go Grudnia 1018 r. do wypadku, który miał się wydarzyć w pół roku po jego śmierci.

Aby ciekawą tę kwestyę wyświecić, zajął się autor powyżej przytoczonej rozprawy gruntownem zbadaniem źródeł do tego wypadku się odnoszących. Dwaj pisarze na szczególną zasługują tu uwagę: Thietmar jako współczesny i od uczestników tej wyprawy (owych 300 rycerzy niemieckich, których cesarz Henryk Bolesławowi posłał na pomoc) dokładne mający relacye i Nestor jako źródło miejscowe. Świadectwo Galla, o sto lat później piszącego, którego opowiadanie o Bolesławie Chrobrym ma wszelkie cechy podania ludowego, odrzuca p. K. zupełnie. Pozostaje zatem tylko Nestor i Thietmar. Nestor pisał swoją kronikę w sto lat po zdobyciu Kijowa przez Bolesława Chrobrego, szczegóły swego opowiadania czerpiąc z tradycyi miejscowej. W pamięci Kijowców mieszało się wspomnienie o zajęciu ich grodu przez Chrobrego z tradycyą o Bolesławie śmiałym: obydwa przedsiębiorali wyprawy na Ruś w celu intronizacyi spokrewnionych z nimi książąt ruskich. Autor nader trafnie wykazuje analogię tych dwóch wypadków. Podobieństwo tych dwóch wypraw z łatwością mogło spowodować pomieszanie się niektórych rysów, przeniesienie ich z jednej na drugą. Jeżeli przypuszczenie to samo przez się jest prawdopodobne, to w obec sprzeczności zawartej w opowiadaniu Nestora nabiera niemal cechę pewności.

Na takim rozumowaniu oparty i w obec wyraźnego świadectwa Thietmara o szczęśliwym powrocie Chrobrego, dochodzi autor do następujących wniosków: 1) Bolesław w kilka tygodni po zdobyciu Kijowa wrócił dobrowolnie do kraju, tak iż Thietmar, zmarły 1go Grudnia 1018 r., mógł jeszcze o tem donieść w swej kronice; 2) wiadomość o wymordowaniu Polaków i ucieczce Bolesława, znajdu-

jąca się u Nestora pod r. 1018 i 1069 odnosi się tylko do wypadków z r. 1069, do wyprawy kijowskiej Bolesława Śmiałego.

W pracy pana Karłowicza widzimy wiele uwag trafnych, wywodów nader logicznych i jeżeli nie usunął wszelkich w tej kwestyi wątpliwości, to w każdym razie przyznać należy, iż pracą swą wielce się przyczynił do rozjaśnienia tych ciekawych wypadków, które objaśnić niejedno już usiłowało pióro.

**Akta Grodzkie i Ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej,** z Archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. Tom III. We Lwowie 1872. 4to str. VII i 313.

Próżną byłoby rzeczą dowodzić, jak ważnymi są akta dyplomatyczne dla dziejów narodu, mianowicie zaś dla wieków średnich, których szczególnie pod względem wewnętrznych stosunków i obyczajów nieliczne i niedokładne źródła wcale nie mogą rozjaśnić. Śp. Aleksander hr. Stadnicki poznał całą ważność aktów złożonych w tak zwanem archiwum bernardyńskiem i testamentem z roku 1855 zapisał cały swój majątek w sumie 40.000 zhr. na wydawnictwo tych aktów. Tem większą jego zasługą, że przystęp do tego archiwum prywatnym ludziom był bardzo utrudniony. Ponieważ jednak fundator zapisał odsetki od tegoż kapitału w dożywocie swej matce a po śmierci też braciom, a zarazem w testamencie oświadczył, że jeżeli najdalej w cztery lata po jego śmierci (umarł w r. 1861) wydawnictwo nie przyjdzie do skutku, ofiaruje ten kapitał na dobudowanie wieży kościoła katedralnego we Lwowie, aby nie stracił zapisu, Wydział krajowy ofiarował na ten cel pewną sumę rocznie, która miała być później z odsetków od zapisanego kapitału zwrócona.

Tak wyszedł w r. 1868 tom pierwszy tych aktów pod redakcyą komisyi złożonej przez Wydział, a której sekretarzem był pan Łucyan Tatomir. Ponieważ jednak w skutek takiej pracy zbiorowej okazał się brak jednolitego planu, powierzył Wydział dalszą redakcyę Drwi Ksaweremu Liske, który już w r. 1870 tom drugi tychże aktów wydał. \*)

Z początkiem tego roku opuścił prasę tom trzeci, który mamy przed sobą. Zawiera on w ogóle 130 dokumentów *in extenso*, mianowicie 76 z wieku XIV i 54 z wieku XV. Prawdziwą zasługę przyznać należy komisyi, która nie zadawałnając się oblatami z archiwum bernardyńskiego, bardzo często mylnymi w skutek nieumiejętności przepisujący, starała się o ile możliwości

\*) Wyczerpującą krytykę pierwszego tomu przez Dr. Stanisława Warnkę znajdzie czytelnik w *Dzienniku literackim* z r. 1868; tomu drugiego przez Dra Wincentego Zakrzewskiego w tymże *Dzienniku* z r. 1870. Również pobieżny więcej przegląd tych dwóch tomów podał ks. kanonik Ignacy Polkowski w artykule „Kodeksa dyplomatyczne polskie“ w *Przeglądzie lwowskim* z r. 1871; odpowiedź Dra Liskego na ten artykuł znajduje się w zeszytach ósmym tegoż *Przeglądu* z r. 1871.

o oryginały, których jej kilka miało, jako też Zakład Ossolińskich i biblioteka hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego dostarczyły. Na uznanie zasługuje także napróżd to, że po każdym oryginale lub pierwszej kopii załączono potwierdzenia z lat następnych, a powtóre, że tak w tym jak w drugim tomie zachowano pisownię oryginałów o ile możliwości jak najstaranniej. Przy wydaniu bowiem pierwszego tomu nie uważano na ogólnie przyjętą zasadę, że pisownię oryginałów należy zachować, a zmodernizować ją można tylko w kopiach z lat późniejszych, ponieważ w takim razie nie wiele na niej zależy.

Każdy dokument opatrzony jest nagłówkiem, podającym króciutką treść jego, na końcu podana jest wskazówka, w jakim stanie każdy dokument lub pieczęć do niego dołączona obecnie się znajduje, a w odsyłaczach znachodzimy bardzo staranne objaśnienia, dotyczące bądź to imion ludzi zkadinał znanych, bądź miejscowości,

teraz nieco odmienne noszących nazwisko, bądź też pojedynczych wyrazów, jeżeli takowe były już drukowane, a później innymi zostały zastąpione; wszystkie te dopiski ułatwiają badaczowi w wysokim stopniu pracę. Wreszcie pod tym względem należy przyznać obecnemu tomowi wyższość nad poprzednimi, że przed nagłówkiem każdego dokumentu podane są miejsce, rok i dzień, w którym został wystawiony, podczas gdy u tamtych jest podane tylko miejsce i rok.

Nakoniec kto miał do czynienia z podobnymi dyplomaturyuszami, wie jak ważnym bywa w takich razach dokładny indeks, a przyznać należy Drowi Liskemu, że przez niego sporządzony jest dziełem wzorowo dokonanem.

Podajemy tych kilka pobieżnych uwag, ażeby zwrócić uwagę, że wydawnictwo to uległo w swej obecnej formie znacznym ulepszeniom i nie zasługuje już bynajmniej na czynione mu dawniej przez krytykę zarzuty.

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*Stasio*, tragedia w 5 aktach Karola Szajnochy).

Znakomity historyk, zanim stanowczo swój umysł ku pracy nad dziejami skierował, łamał się parę razy z trudnościami formy dramatycznej, chcąc pisać dla sceny, jakby nie przeczuwał, że wysokiem jego zadaniem będzie przedstawić nie losy człowieka, ale wspaniały dramat dziejowy — narodu. I daleko mu bardziej do twarzy z rylcem historyka. Umysł jego odnajdujący harmonię w nieładzie historii i wynoszący z niej ten pewnik moralny, że w przestrzeni czasu goręcze chwili się łagodzą a zbrodnie karzą, nie umiał się jakoś znaleźć wobec dramatu osobistego, gdzie występki i cierpienie trwa jedną chwilę a ma przedstawiać wieczność. Dlatego dał nam w „Stasiu“ (przedst. d. 22. b. m.) utwor pozbawiony wszelkiego pozytywnego rezultatu moralnego, nie zawierający żadnej prawdy, ani żadnej wskazówki. Dramat ten nie ma podstawy w życiu, bo życie nie daje podobnych przykładów, nie ma podstawy w prawidłach obyczajowych świata, bo etyka nie każe, aby się tak działo. Nie jestto więc ujęcie w dramat, powtarzającego się ciągle zjawiska ludzkiej natury jak sceptycyzm Hamleta, duma Koryolana, potworna ambicja Ryszarda III, ale nagi fakt niczem nie uzasadniony, który miałby w opracowaniu dramatycznym pewne uzasadnienie, gdyby został dramatycznie pojętym. Ale popatrzmy czy tak?

Pułkownik (p. Baranowski) wydaje córkę Klarę (panna Rudkiewiczówna) za chłopca, wychowanego prawie na łonie natury, jedrznego w swej prostocie i kochającego tak mocno, jak tylko kochają natury pierwotne, szczerze, z takiej szkoły życia wyszłe, jak Stasio (p. Ładnowski). W testamencie jednak przekazał Stasiowi umierający stryj warunek, że dopiero po odbyciu trzyletniej podróży (w jakim celu?) może posiadać spadek — dopiero wtedy może się więc i ożenić. W chwili gdy młody turysta „z konieczności“ ma się już udać w podróż i przecierpia najtrudniejszą chwilę rozstania z kochanką, włącza mu cyniczny Edmund, który nie wiemy czemu, utracił wszelką już wiarę do świata a szczególnie do kobiet, szatańskie podejrzenie, że Klara po jego wyjeździe o nim zapomni. W chwili takiego rozdrażnienia wewnętrznego rzucić takie słowo, mgliste, połowiczne a wstrząsające do szpiku, znaczy usunąć grunt z pod nóg człowiekowi. Stasio robi układ z Edmundem. Przez rok ma zupełnie zamilknąć i usunąć się daleko a Edmund tymczasem robić wszelkie wysiłki, aby Klara w nimże samym się zakochała. Edmund ręczy, że tego dokona — jeżeli nie, odda po roku Stasiowi anioła! Jeżeli autor chciał, aby tak się stało, na-

turalnie, że stać się musiało. A nawet trochę byłoby dziwnem, gdyby było inaczej?... Rok cały milczeć mimo przyrzeczeń — nie jestże to samemu wrzucić do wyobraźni kobiety żagwie podejrzenia, że birbantując z gryzetskami w Paryżu dawno się o niej zapomnielo?... Romans Klary i Edmunda więc skojarzony — a Edmund, który się znudził nazbyt dlań czystą, chociaż dawno zaręczoną sobie Łucyą (pani Szymańska), na dobre pokochał Klarę. W chwili zamiany obrączek pomiędzy Klarą a nim bije godzina epokowa — rok mija od wyjazdu Stasia a jego zegarek się nie spóźnia — turysta staje we drzwiach i widzi cudowną grupę upojonych sobą kochanków.

Staje nowy układ między obu młodzieńcami zarówno dziwny jak ów pierwszy. Stasio ma prawo żądać od Edmunda zadośćuczynienia za wydarcie mu narzeczonej, kiedy zechce, kiedy Edmundowi życie najdroższym będzie klejnotem. Tymczasem ubiera draperię lazarona i staje się rozpitym włóczęgą. Przeróżająco ale i z mistrzowskimi efektami są kreślone sceny, w których Stasio okryty żebraczym łachmanem, wije się pod węzowymi splotami cudownych pamiątek zmarnowanego uczucia i żądzy szatańskiej zemsty. Łucya tymczasem, wzgardzona kochanka Edmunda, który poślubił następnie Klarę, mści się z równą srogością. Gdy Edmundowi narodziły się bliźnięta, wykrada jedno z nich a podsuwa dziecko chłopskie. Przed zgonem, który sama sobie zadaje, odchyła połowę zasłony z tajemniczej przeszłości: powiada Klarze że jedno z jej dzieci jest podrzutkiem, ale które?... Tu Łucya umiera — Klara rzucona w podwójny dylemat: które z dwóch tych jest własnem jej dzieckiem? i gdzie, w jakiej nędzy tuła się drugie, przez Łucyę wykradzione?... Jest to pomysł ze strony poety przeróżający w swej tragiczności ale i wspaniały, prawdziwie oryginalny, po Szekspirowsku silny. Za pomocą Stasia, który w długiej tułaczce pozbył się już zamiaru zemsty, a Klarę ciągle ubóstwia, odszukuje Edmund drugie dziecko a w chwili najwyższego szczęścia, zjawia się przecież jego dawny, pozornie już zażegnany rywal, w którym przegaszony chwilowo zamiar odżył tem silniej na nowo — następuje spodziewana dawno scena — Edmund ginie wybraawszy zły los, od strzału własnego pistoletu, Klarze pęka serce — na ruinach domu zostaje Stasio, opiekun przyszły dwojga chłopiąt.

Treść dramatu wskazuje już sama dokładnie jego wysokie zalety i zarazem fałszywą podstawę całej kompozycji. Jest nią przedewszystkiem nieuzasadnione niczem

zawiazanie. W duszy Stasia nie było żadnych danych na obudzenie się ciemnego podejrzenia, w otwartej grze uczuć Klary żadnego motywu, aby ufnąć jej kochanka przeszła tak szybko w powątpiewanie. Wszystkie więc przejścia stworzone na tle takiego założenia, tracą swą głęboką, psychiczną potrzebę, nabierając pozorów wyszukanego efektu. Jeżeli w charakterach obojga kochanków nie leżała konieczność rozbudzenia się podejrzeń, natenczas sztuczne ich wywołanie przez trzecią osobę nie wywołuje wrażenia ani prawdziwego, ani tragicznego. Byłoby pięknem, gdybyśmy z duszy Stasia dojrżeli wylaniającego się demona, któryby nim powoli zupełnie owdładnął i wskazał mu tory postępowania będące naówczas dziwnymi, ale pełnymi logiki. Tak samo, jak owo zawiązanie, tak i dalszy rozwój charakteru Stasia mało ma w sobie prawdy i wewnętrznej konieczności, a już od początkowej sceny zatartem zostało całe piętno właściwej poezji, skoro pierwszym potrąceniem Stasia do roli dramatycznej, jaką gra w sztuce, nie jest głos silnej namietności, ale trzeźwa refleksja, zamiar osnuty prawie z filuternem wyrachowaniem. Słusznie ktoś powiedział, że zawiązanie „Stasia“ nadałoby się raczej do wybornej komedii.

To wszystko jednak, com tu powiedział, nie osłabia głębokiego wrażenia, jakie wywiera ten dramat. Szajnocha nie umiał kreślić stosunków konwencyonalnych, zwykłego toru życia, bo gdy pisał „Stasia“ za mało znał jeszcze powszednią jego postać. Dlatego dwa pierwsze akty, obracające się w kole prawidłowych stosunków, razią co chwila fałszywymi zwrotami sytuacji i nienaturalnymi przejściami uczuć, ale gdy mu przyszło unieść się na skrzydle samorodnej fantazji, stworzyć typ pierwotnej natury, odmalować Stasia w stanie prawie zdziwiałym, mającym w sobie coś ze szpiku Kalibana, okazał się Szajnocha malarzem o wielkich pomysłach i wielkiej sile pędzla.

P. Ładnowski (Stasio) odczuł wszystkie intencje poety i przesunął nam znowu przed oczyma mistrzowsko oddaną postać. Na pół pijana, na pół rzewna śpiewka w karczmie była przerażającym w swej grozie arcydziełem, a gdy w końcu IV aktu Stasio szamocze się z po-

wstającym w duszy na nowo demonem, czuć było herkuliczną walkę dwóch atletołów, widomego z niewidomym, nie tę łatwą igraszkę człowieka z próżnym widmem, które tak często spotyka się na scenie.

Zresztą przedstawienie nie wykaczało ani na chwilę z granic mierności. Panna Rudkiewiczówna (Klara) miewa role, w których gra z rzadkim wdziękiem, ale nie ma takich, w którychby grała z prawdziwą siłą tragiczną. Przytem zna panna R. wybornie patologię duszy i ciała — gdzie o to chodzi, gra jej nie zostawia nic do życzenia — ale gdzie potrzeba oddać tak tytaniczną scenę, jak scena matki nie wiedzącej, które z dwóch jest jej dzieckiem, tam ani głos nazbyt suchy, ani gra fizjognomii i ruchy nazbyt konwencyonalne nie pozwalają pannie R. wyzyskać wszystkich rolę stanowiących momentów.

„Rola Klary powinna się była dostać, podług mego zdania, pannie Deryng.“ Tak napisał krytyk *Gazety Narodowej* (J. T.). Jakkolwiek i ja mam przekonanie, że tylko panna D. zdołałaby oddać tę rolę z wstrząsającą do głębi siłą, nie na to jednak pragnąłbym zwrócić tu uwagę. Chciałbym podnieść rzecz ogólniejszą. Nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego Dyrekcja tak często obsadza role najważniejsze artystkami drugorzędnymi, które im przy najlepszych chęciach nie sprostają, podczas gdy oszczędza nad miarę, powiedziałbym, skąpi nam podziwiania swych artystek najznakomitszych... Panią Aszpergerową widzieliśmy w przebiegu całego miesiąca raz tylko w roli księżnej Marlborough („Szkłanka wody“), pannę Deryng raz tylko w ważniejszej roli Anieli („Śluby panińskie“), panią Nowakowską zaledwie dwa lub trzy razy... Tak to się dzieje, że sztuki mogące utrzymać się stale w repertoarze przy właściwej obsadzie, upadają lub w przedstawieniu nie czynią należytego wrażenia... Nie chciejcie światła stawiać pod korzec, bo nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje. Mówię dziś tylko o personalu kobiecym — tyle zaś dodam, że te same słowa dałyby się odnieść prawie w całości do obsady ról męskich... Ale to już przedmiot na dziś za obszerny.

Bronisław Zawadzki.

## Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Za kilka dni już przybędzie do naszego miasta długo oczekiwany, sędziwy poeta **Seweryn Goszczyński**. Sądziemy, że ostatniego z wielkiej plejady wieszczów narodowych przyjmie miasto z godną siebie uprzejmością i uczuciom swoim nada wyraz odpowiedni — silny. Nie przesadzamy zresztą w niezem formy, w jakiejby uważano stosownem urządzić przyjęcie.

**CZASOPISMA.** „*Prómyk*“, pismo dla młodzieży pod redakcją Władysława Bełzy. Kwartał I. Lwów. Richter 1872. Gorąco polecamy to piśmko redagowane z rzadkim talentem, wybornie umiającym zastósować słowo ciepłe i patryotyczne do młodocianych umysłów. Wiązanka artykułów umieszczonych w niem dotychczas jest bardzo wdzięczną i urozmaiconą. Miłe powiastki J. Gordona i Pauliny Wilkońskiej, prześliczne wierszyki Wł. Bełzy itd. mogą być prawdziwą ozdobą każdej dziecięcej biblioteki.

**HISTORIA I STATYSTYKA.** *Przemysł i jego okolice, opisał historycznie ks. Wojciech z Zaleszan.* Nowy Sącz. Nakładem autora 1872. Dziełko to, jak i dawniej wydana *Historja Radomyśla nad Sanem przez Aloizego Skoczka* (Kraków 1871) rozpoczyna szereg monografi bardzo pożytecznych dla krajoznawstwa Galicyi.

**TEATR.** W Poniedz. (29 bm.) urządza komitet akademicki oświaty ludowej przedstawienie amatorskie w połączeniu z kon-

certem dyr. Karola Mikulego na pomnożenie funduszu szkół. Program: „*Anakreon*“, uwertura L. Cherubiniego, wykoną orkiestra koncertowa pod dyrekcją p. Mikulego; „*Motyle*“, przysłówie dramatyczne w I akcie z francuzkiego Emila de Najac, przełożył Bronisław Zawadzki; „*Modlitwa poranna*“ i „*Pierwiosnek*“, dwa kwartety Mendelssohna-Bartholdy odspiewają artyści opery lwowskiej panna Marya Kwiecińska, panna Weitz, jakoteż pp. Borkowski i Cieślowski; „*Szpada mego ojca*“, dramat w I akcie z francuzkiego Karola Desnoyers; „*Mélo die religieuse* B. Toursa na fortepian (dyr. Mikuli), skrzypce (p. Bruckmann), wiolonczelę (p. Wollmann) i harmonium (p. Sch.); *Wizyta pana Feliksa*, komedia w I akcie dr. Adama Bełcikowskiego; „*Polska przez lud*“, cykl obrazów z żywych osób, przyczem p. Ładnowski wygłosi stosowny wiersz Wł. Ordona. Nie wątpimy, iż cała publiczność lwowska tłumnie popieszy na przedstawienie o tak bogatym programie a mające na celu pomnożenie funduszu oświaty ludowej, o których zbieraniu tyle się mówi, a tak mało dotychczas zrobiło.

Autor „*Przeglądów teatralnych*“ umieszczanych w *Gazecie Narodowej* pod pseudonimem *Juniusa*, przesłał tejsze Redakcyi następujące pismo:

„Panie Redaktorze! Ponieważ kilkakrotnie już nie mogłem się zgodzić z sądem Pańskim w poglądach na grę niektórych artystów, uchylam się nadal od prowadzenia krytyki dramatycznej w łamach *Gazety Nar.*“  
Bronisław Zawadzki.